

A OTO FRAGMENTY KSIĄŻEK DO ZILUSTROWANIA:

„AKADEMIA PANA KLEKSA”

„...Wszyscy byliśmy zawsze niezmiernie ciekawi, jak pan Kleks radzi sobie z gotowaniem na tyle osób, ale wstęp do kuchni był zabroniony. Dopiero w zeszłym tygodniu pan Kleks oznajmił, że przydziela mnie do kuchni i wyznacza na swego pomocnika. Byłem tym zachwycony i chodziłem po Akademii dumny jak paw. Gdy Mateusz zadzwonił na obiad, wszyscy chłopcy pobiegli do jadalni, gdzie Alfred i drugi Antoni krzatali się już dookoła stołu, ja zaś udałem się do kuchni. Muszę koniecznie opisać jej wygląd i urządzenia, które zaprowadził tam pan Kleks. Wzdłuż jednej ściany stały na długich stołach blaszane puszki, wypełnione szkiełkami przeróżnych barw i odcieni. Po przeciwległej stronie umieszczone były naczynia z jadalnymi farbami oraz ogromny zbiór najdziwniejszych pędzli i pędzelków. Na oknach stały drewniane skrzynki z jaskrawymi kwiatami, wśród których przeważały nasturcje i pelargonie. Pośrodku kuchni wznosił się wielki stół z metalowym blatem. Stał na nim pękaty szklany słój, napęczniały płomykami świec, oraz mnóstwo małych słoików z kolorowym proszkiem. Przystępując do gotowania obiadu pan Kleks włożył biały kitel i zabrał się do przyrządzania potraw. Do ogromnego rondla wrzucił trzy kwarty pomarańczowych szkiełek, dosypał garstkę białego proszku, dolał wody, cienkim pędzelkiem wymalował na powierzchni zielone grochy, po czym na zakończenie dorzucił kilka płomyków świec, od których woda w rondlu natychmiast zawrzała. Wówczas pan Kleks wymieszał dokładnie całą zawartość rondla, przelał ją do wazy i rzekł do mnie: – Zanieś tę wazę Alfredowi do jadalni. Myślę, że zupa pomidorowa będzie dzisiaj doskonała. ...”



„W PUSTYNI I W PUSZCZY”

„Noc zeszła spokojnie, i lubo na południowej stronie nieba nagromadziło się dużo chmur, ranek uczynił się pogodny. Z rozkazu Stasia Kali i Mea zajęli się zaraz po śniadaniu gromadzeniem melonów, strąków akacyowych i świeżych liści, oraz trawy i wszelkiego rodzaju żywności dla słonia, którą składali następnie nad brzegiem wąwozu. Ponieważ Nel chciała koniecznie karmić osobiście swego nowego przyjaciela, więc Staś wyciął dla niej z młodego rosochatego figowca coś w rodzaju wideł, aby jej łatwiej było spychać zapasy na dno wąwozu. Słoń trąbił od rana, upominając się widocznie o posiłek, a gdy następnie ujrzał na krawędzi tę samą białą istotkę, która karmiła go wczoraj, powitał ją radosnym gulgotaniem i natychmiast wyciągnął ku niej trąbę. Przy świetle poranku wydał się dzieciom jeszcze bardziej olbrzymi, niż wczoraj. Chudy był bardzo, ale wyglądał już rażniej i zwracał ku Nel swe małe bystre oczy prawie wesoło. Nel twierdziła nawet, że przednie jego nogi pogrubiały przez jedną noc i poczęła spychać żywność z takim zapalem, że Staś musiał

ją powstrzymywać, a wkońcu, gdy się zadyszała zanadto, zastąpić w robocie. Oboje bawili się wybornie, a zwłaszcza bawiły ich »grymasy« słonia. Jadł on z początku wszystko, co mu pod nogi spadło, lecz wkrótce, zaspokoivszy pierwszy głód, począł przebierać. Trafiwszy na roślinę, która mniej mu smakowała, otrząpywał ją o przednie nogi, poczem odrzucał ją trąbą w górę, jakby chciał mówić: »zjedzcie sami ten przysmak«. Wreszcie, po zaspokojeniu głodu i pragnienia, jął wachlować się swemi ogromnemi uszami z widocznem zadowoleniem.

— Jestem pewna, — mówiła Nel — że, gdybyśmy do niego teraz zeszli, nie zrobiłby nam nic złego.

I poczęła nań wołać:

— Słoniu, kochany słoniu, prawda, że nie zrobiłbyś nam nic złego?

A gdy słoń kiwnął w odpowiedzi trąbą, zwróciła się do Stasia:

— Widzisz! powiada, że tak.

— Być może — odrzekł Staś. — Są to zwierzęta bardzo inteligentne, i ten zrozumiał już niezawodnie, że oboje jesteśmy mu potrzebni. Kto wie, czy nie odczuwa też i trochę wdzięczności dla nas; lepiej jednak jeszcze nie próbować, a zwłaszcza niech nie próbuje Saba, gdyż jego zabiłby z pewnością. Ale z czasem może się i oni poprzyjaźnią.”



„OPOWIEŚCI Z NARNII”

„Zapomniał już zupełnie o Łucji i podążył ku światłu, pewien, że to otwarte drzwi szafy. Ale zamiast wyskoczyć z ciemności wprost do pełnej światła garderoby, stwierdził nagle, że wychodzi z cienia jakiegoś gęstego, jodłowego zagajnika na otwartą przestrzeń w środku lasu. Pod stopami chrzęścił mu suchy, sypek śnieg, który pokrywał też gałęzie drzew. Nad nim jaśniało białoniebieskie niebo, takie, jakie zdarza się w piękne zimowe poranki. Wprost przed sobą, między pniami drzew, zobaczył wschodzące słońce, czerwone i wyraźne. Naokoło panowała głęboka cisza, jakby był jedyną żywą istotą w tym kraju. Wśród drzew nie dostrzegł choćby drozda czy wiewiórki, a las rozciągał się w każdym kierunku tak daleko, jak tylko mógł sięgnąć wzrokiem. Poczuł, że ciarki przebiegają mu po plecach. Teraz przypomniał sobie o Łucji, a także — choć poniewczasie — o swoich docinkach na temat jej „wymyślonego kraju”, który — jak się okazało — wcale nie był wymyślony. Wciąż miał jednak nadzieję, że siostra musi być gdzieś blisko, więc zawołał: — Łucjo! Łucjo! Ja też jestem tutaj! To ja, Edmund! Nie było żadnej odpowiedzi. . „Na pewno jest na mnie zła za to wszystko, co jej ostatnio mówiłem”,

pomyślał Edmund. I chociaż nie lubił przyznawać się do błędów, jeszcze mniej podobało mu się to, że jest zupełnie sam w tym dziwnym, zimnym i cichym miejscu. Krzyknął więc jeszcze raz: — Hej, hej, Łusiu! Przepraszam, że ci nie uwierzyłem. Teraz widzę, że od początku miałaś rację. Ale wyjdź już, proszę cię! Dajmy temu spokój! Wciąż nie było żadnej odpowiedzi. — Jak to dziewczynka! — powiedział do siebie Edmund. — Dąsa się gdzieś i nie przyjmie żadnych przeprosin. Raz jeszcze rozejrzał się wokoło i doszedł do wniosku, że to miejsce nie bardzo mu się podoba, wobec czego już postanowił wracać do domu, gdy nagle, gdzieś daleko w lesie, odezwał się dźwięk dzwoneczków. Nasłuchiwał, a dzwonki przybliżały się i przybliżały, aż w końcu zza drzew wyskoczyły sanie zaprzężone w dwa reny. Reny były wielkości szetlandzkich kucyków, a sierść miały tak białą, że w porównaniu z nimi nawet śnieg wydawał się szary. Ich rozgałęzione rogi były pozłacane i kiedy zaśnięło na nich słońce, zapłonęły żywym ogniem. Uprząż była zrobiona ze szkarłatnej skóry i przyozdobiona dzwoneczkami. Na koźle siedział przysadzisty karzeł, który z pewnością nie miałby nawet metra wysokości, gdyby stanął wyprostowany. Ubrany był w kozuch z polarnego niedźwiedzia, a na głowie miał czerwony kaptur z długim, zwisającym nisko pomponem. Obfita broda spływała mu aż na kolana, pełniąc funkcję czegoś w rodzaju pledu chroniącego przed zimnem. Za nim, na podwyższeniu pośrodku sań, siedziała zupełnie inna postać: wysoka pani, bardziej wysoka niż najwyższa kobieta, jaką Edmund kiedykolwiek widział. Pani również była przykryta białym futrem, w prawej ręce trzymała długą, prostą laseczkę, a na głowie miała złotą koronę. Jej twarz była biała — nie zwyczajnie blada, lecz zupełnie biała, jak śnieg lub papier, lub wata cukrowa, tylko wargi płonęły jaskrawą czerwienią. Była to twarz piękna, lecz dumna, zimna i surowa.”



PRACE NALEŻY ODDAĆ DO ORGANIZATOREK KONKURSU: P. RENATY CIERPIAŁ -MAŁASIEWICZ LUB P. MARTY DOLATY.

